

Dom

Ośrodkiem naszego świata był dom, jedyne w moim życiu miejsce, które kojarzy się z tym słowem; po nim zmieniały się już tylko mieszkania. Choć ocalał i dziś stoi w Janowcu, ulepszony, bo podpiwniczony, z centralnym ogrzewaniem, wodą bieżącą, łazienkami i lampami elektrycznymi zamiast naftowych, do tego dawnego podobny jest głównie od frontu, i to nie bardzo, bo okiennice ma na zewnątrz, na ganku brakuje ciężkich żelaznych ławek, w oknach rolet, na balkonie szerniałego obrazka Matki Boskiej, który miał go chronić, a zniknął w 1944 roku. Zlikwidowany został obrośnięty klematisem taras, od strony południowej przylegający do saloniku, w czasie wojny zajmowanego przez babcię Zosię i Marylkę. I oczywiście pamiątka pierwszej wojny światowej: wbity w ścianę przy drzwiach do ich pokoju, zabezpieczony szybką szrapnel, który silnie oddziaływał na dziecięcą wyobraźnię. Od strony zachodniej natomiast dodano „pergolę”. Wychodzi się na nią z dawnego pokoju p. Plucińskiej, ongiś pozbawionego zarówno drzwi na dwór, jak i do holu.

Obecne wnętrze dworu, przystosowane do celów muzealnych, biurowych i hotelowych, też zasadniczo różni się od dawnego, co najlepiej widać przy porównywaniu dzisiejszego rozkładu pokoi z planem sprzed przebudowy. W naszym domu wszystkie pokoje łączyły się ze sobą, na parterze były w ciągu dnia właściwie stale pootwierane, wyjąwszy pokój p. Plucińskiej i czasami babć, kiedy się modliły, czytały albo po prostu miały dość hałasującej dzieciarni. Stwarzało to poczucie swobody, a równocześnie rodzinnej więzi, bo nikt się od nikogo nie odgradzał, wszyscy zgodnie żyli razem. Inaczej sprawa przedstawiała się na piętrze, gdzie pokoje wzdłuż korytarza, zawsze pozamykane, zapewniały służbie i gościom prywatność.

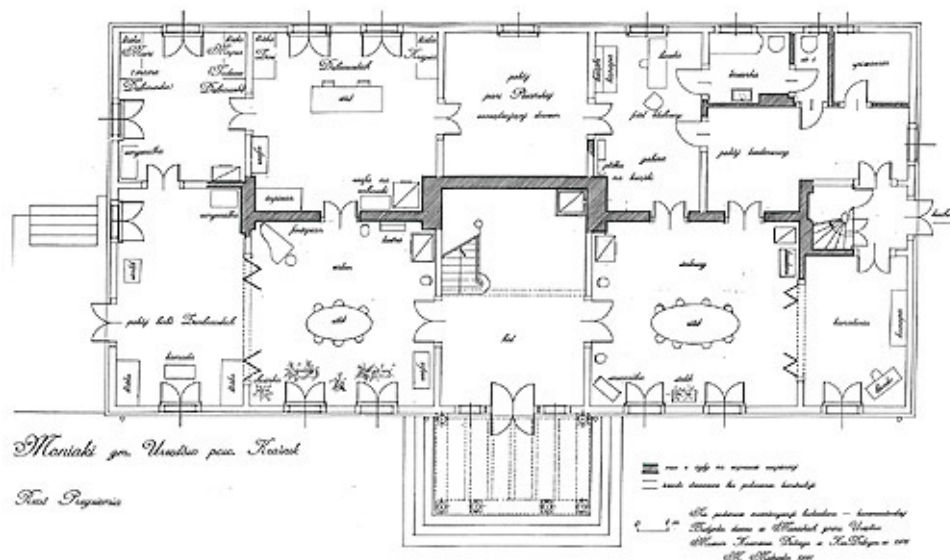
Ongiś, tak jak dzisiaj, do domu wchodziło się frontowymi drzwiami z ganku. Na ścianie w holu poprzybijane były wieszaki w kształcie drewnianych kołków, jedyny element wyposażenia częściowo zachowany. Z lewej strony kręcone schody prowadziły na piętro, pod nimi był schowek. Na prawo od holu znajdowała się jadalnia, z dużym rozsuwanym stołem i wyplatnymi rafia krzesłami, z dużym kredensem, wiszącym zegarem między oknami, z mnóstwem kwiatów w żardynierach.



Stołowy

Ze stołowym sąsiadowała kancelaria, z kanapą o skórzanym obiciu i wiszącym nad nią porożem, z krzesłami i fotelem, które w roku 2007 wróciły do dworu, zapisane w testamencie przez Marię Świerczewską-córkę, i z dużym biurkiem. Do kancelarii prowadziło osobne wejście z sionki, przeznaczone dla interesantów, których przyjmowali kolejni właściciele majątku, a w czasie wojny administrator, zwany też rządcą.

Na lewo od holu, w salonie stał komplet mahoniowych mebli, fortepian, piękne wysokie lustro w miejscu, które na Boże Narodzenie zajmowała uwidoczniiona na planie choinka, i żardyniery z kwiatami doniczkowymi. Za salonem, w mniejszym saloniku, mieszkały w czasie okupacji babcię Zosia i Marylka, miały tam dwa łóżka, umywalkę, jakiś stolik i komodę. Wszystkie pokoje frontowe łączyły się ze sobą szerokimi dwuskrzydłowymi drzwiami.



plan przyziemia

Tutaj, skoro już o wodzie mowa, wypada opisać sprawny moniacki system wodno-kanalizacyjny. Kiedy w domu zabrakło wody, ktoś - w moich najdawniejszych wspomnieniach dziadek Zembrzusi - wychodził na ganek i donośnym głosem wołał w kierunku podwórza „Wooda!” Tam zawsze znajdował się fornał czy inny pracownik, na dane hasło podchodził do pompy i obracał dużym kołem aż do napełnienia zbiornika na dworskim strychu. Musiał istnieć mechanizm, kierujący strumień wody albo do rur, albo do koryta dla zwierząt, ale nie zgłębiłam tajników jego działania. Z zaopatrzeniem w wodę ściśle wiązała się kwestia ścieków. Spływały one do wielkiego, nigdy nie opróżnianego szamba pod lipą od strony sadzawki. Za mojej pamięci otwarte tylko raz, przypominało bardzo głęboką studnię. Żadne zło wonie nie dolatywały spod porastającej pokrywę trawnika, a o istnieniu kanalizacji świadczyła jedynie wąska ciemna strużka, najlepiej widoczna zimą na lodzie, kiedy zamarzła sadzawka.

Na piętrze od strony wschodniej i południowej trzy pokoje stanowiły oddzielną całość i te przed wojną zajmowali Dąbrowscy, później stały puste, pewnie służyły za gościnne, jeden za dodatkową spiżarnię, gdzie p. Plucińska przechowywała orzechy, pierniki i podobne świąteczne przysmaki. W trzech pokojach od frontu, z drzwiami na balkon, mieszkali w czasie okupacji Olszowscy, w czwartym krewniak Zembrzuskich, Tomasz de Malmö Solman (rzekomo spowinowacony też ze szwedzką rodziną królewską, a w Moniakach zatrudniony jako magazynier, co miało go chronić przed wywózką na roboty do Niemiec), po przeciwnej stronie korytarza pokojówki, Marysia i Andzia, kucharka p. Ciszewska, zapewne też opiekunki dzieci: sopocianka Schwester Elizabeth Stromsky, specjalnie najęta do noworodka Mopsa, która wyjechała chyba na samym początku wojny, jej następczyni Lili Schmidt, też jako Niemka wkrótce odprawiona, a od śmierci stryja Henryka Dąbrowskiego w 1940 jego służąca Józia, wreszcie opiekunka małych Olszowskich, lojalna i oddana panna Maria, dla dzieci Nana, która przyjechała z nimi z Gdyni i pozostała najdłużej, do 1943 roku. Łazienka w północnym końcu korytarza nie miała wanny, tylko umywalkę i sedes.

Z wystroju wewnętrznego dworu nas, dzieci, najbardziej fascynował słupek u szczytu schodów, prowadzących z holu na piętro, bo zdołał go duży, pięknie wypolerowany mosiężny szrapnel z czasu pierwszej wojny światowej.

Ładnie umeblowane były w Moniakach chyba tylko pokoje na parterze, na piętrze sprzęty należały do najprostszych: siatkowe łóżka, nocne stoliki, umywalki, nieodzowne parawany, zwyczajne krzesła, stoły, szafy, komody. W nocy pod każdym łóżkiem pojawiał się nocnik.

Modrzewiowy dom, opalany drewnem, zapewniał ciepło, kaflowe piece grzały plecy, co zachęcało, żeby pod nimi postać. Wszystkie podłogi były ze zwykłych sosnowych desek, jasne, czyściutkie, zawsze pięknie wywoskowane.

W oficynie koło domu znajdowała się na parterze kuchnia, od wschodu jakaś rupieciarnia z zakratowanym oknem, w izbie od południa natomiast oprawiano świnie po uboju i wyrabiano wędliny. Na pierwszym piętrze nad tą izbą mieszkała w czasie okupacji wysiedlona z Poznania profesor tamtejszego uniwersytetu, p. Różkowska, z dziećmi: Helą, Andrzejem i moją rówieśnicą Dziną, a w sąsiednich dwóch pokojach rządca, najpierw Edward Tomaszewski, po jego śmierci zaś Jurand Pluciński.